



DEAN

KOONTZ

W ŚWIETLE  
KSIĘŻYCA

*Koontz doskonale wie, jak nas przerazić*

**USA TODAY**

# 1

Zanim Dylana O'Connera pozbawiono przytomności, przywiązano do krzesła i wstrzyknięto nieznaną substancję, zanim odkrył, że świat bywa o wiele bardziej niepojęty, niż mu się dotąd wydawało — wyszedł z pokoju motelowego i przeciął autostradę, zmierzając do jasno oświetlonego baru fast food, żeby kupić cheeseburgery, frytki, ciastka z nadzieniem jabłkowym i koktajl waniliowy.

Zgasły dzień leżał zagrzebany w asfalcie. Jego duch wciąż jednak trwał w powietrzu arizońskiego wieczoru, leniwie unosząc się gorącym oparem z każdego skrawka ziemi, jaki przemierzał Dylan.

Na końcu miasta, które służyło przede wszystkim podróżnym z pobliskiej drogi międzystanowej, baterie kolorowych neonów walczyły o klienta. Mimo toczącej się świetlnej bitwy, w czystym i suchym powietrzu aż po horyzont rozciągało się lśniące i spokojne morze gwiazd. Po gwiazdzistym oceanie sunął okrągły jak koło sterowe księżyc, zmierzając wolno na zachód.

Bezczesna przestrzeń wydawała się czysta i pełna obietnic, lecz świat w dole był zmęczony i przykurzony. Choć właściwie nie wiało, z głębi wieczoru dolatywały pojedyncze poddmuchy, z których każdy szeptał w swoim języku i przynosił własną

niepowtarzalną woń. W miarę jak Dylan zbliżał się do restauracji, zapachy pustynnego piasku, pyłku kaktusów, spalin z diesla i rozgrzanego asfaltu zaczynały się mieszać z gęstym aromatem długo używanego oleju, hamburgerów dymiących na blasze i smażonej cebuli — ciężkim i zawiesistym jak chmura duszącego powietrza w kopalni.

Gdyby Dylan nie był w nieznanym mieście zmęczony po całym dniu drogi i gdyby jego młodszy brat, Shepherd, nie popadł w zagadkowy nastrój, poszukałby restauracji ze zdrowym jedzeniem. W tym momencie jednak Shep nie potrafił stawić czoła ludziom, a gdy był w takim stanie, tolerował tylko jedzenie, które lubił, z dużą zawartością tłuszczu.

W środku restauracji było jaśniej niż na zewnątrz. Dominowały tu białe powierzchnie i mimo przesyconego zapachem tłuszczu powietrza lokal sprawiał wrażenie antyseptycznego.

Dylan O'Conner czuł się we współczesnej kulturze jak w niewygodnym ubraniu; tu także okazała się przyciasna. Uważał, że knajpa, gdzie podaje się hamburgery, powinna wyglądać jak knajpa, nie jak sala operacyjna ani przedszkole z obrazkami klaunów i śmiesznych zwierzaków, ani jak bambusowa chata na tropikalnej wyspie, ani jak plastikowa imitacja nieistniejącego baru z lat pięćdziesiątych. Jeśli ktoś zamierza jeść zwęglone kawałki krowy oblane warstwą sera oraz paski ziemniaków, które zanurzono we wrzącym oleju, aż stały się kruche jak starożytny papirus, a potem popije wszystko stosowną ilością lodowatego piwa albo koktajlem mlecznym o kaloryczności pieczonego prosiaka, to uczta powinna odbywać się w scenerii wzbudzającej w biesiadniku poczucie winy czy wręcz grzechu. Powinno jej towarzyszyć przyćmione i ciepłe światło. W wystroju powinny dominować ciemne kolory — najlepiej stary mahoń, matowy mosiądz, ciemnoczerwona tapicerka. Mięsożerca powinien słuchać uspokajającej muzyki,

a nie powodujących mdłości produkcji muzyków nafaszerowanych prozakiem, ale melodii równie smakowitych jak jedzenie — może wczesnego rock and rolla albo swingu, albo dobrych piosenek country o pokusie i wyrzutach sumienia czy ukochanych pieskach.

Tak czy inaczej, przeszedł po wykafelkowanej podłodze do stalowej lady i zamówił posiłek na wynos u pulchnej, siwowłosej kobiety, która w nieskazitelnym prążkowanym stroju wyglądała jak żona Świętego Mikołaja. Dylan spodziewał się ujrzeć elfa zerkającego z kieszeni jej bluzy.

W dawnych czasach w punktach sprzedaży fast foodów za ladą krzątały się głównie nastolatki. Ostatnio jednak sporo młodych ludzi uznało, że nie przystoi im zajęcie tego rodzaju, tak więc szansę dorobienia zyskali emeryci.

Żona Świętego Mikołaja zwracała się do Dylana „kochany”, a podając mu dwie białe torebki z zamówionym jedzeniem, sięgnęła ponad ladą, aby przypiąć mu do koszuli promocyjną plakietkę. Na znaczku widniał napis „Od dziś tylko frytki jadam, zapominam o owadach” oraz uśmiechnięty zielony pyszczek narysowanej żaby występującej w najnowszej kampanii reklamowej firmy, w której pryszczaty płaz zupełnie zmienia gust, przerzucając się z typowej dla swego gatunku diety na tak wyszukane dania jak półfuntowy cheeseburger.

Dylan kolejny raz poczuł ciasne ubranko: nie rozumiał, dlaczego decydując, co ma jeść na kolację, miałyby się kierować przychylną opinią narysowanej żaby, gwiazdy sportu czy choćby laureata Nagrody Nobla. Co więcej, nie rozumiał, dlaczego miałyby go zachwycić reklama przekonująca, że frytki podawane w tej restauracji są smaczniejsze niż owady. I dobrze by było, gdyby frytki rzeczywiście smakowały lepiej niż torebka smażonych muszek.

Powstrzymał się przed wyrażeniem swojej opinii na temat żaby także dlatego, że zaczął sobie zdawać sprawę, iż ostatnio irtowało go coraz więcej zupełnie nieistotnych drobiazgów.

Jeżeli się nie wyluzuje, stanie się koszmarnym zgorzkniałym zrzęda, zanim skończy trzydzieści pięć lat. Uśmiechnął się do żony Świętego Mikołaja i podziękował jej, żeby nie popsuć sobie Bożego Narodzenia.

Maszerując w świetle pyzatego księżyca w poprzek dzielącej go od motelu trzypasmowej autostrady i niosąc papierowe torebki pełne wonnego cholesterolu w przeróżnych postaciach, Dylan wyliczał w myślach wiele rzeczy, za które powinien być losowi wdzięczny. Dobre zdrowie. Ładne zęby. Wspaniałe włosy. Młodość. Miał dwadzieścia dziewięć lat, trochę talentu artystycznego i pracę, w której odnalazł sens i radość. Mimo że bogactwo mu nie groziło, sprzedawał swoje obrazy na tyle często, by co miesiąc zapłacić rachunki i złożyć nieco pieniędzy w banku. Nie miał szpecących blizn na twarzy ani kłopotów z powracającą grzybicą, ani nieznośnego brata bliźniaka; nie miał ataków amnezji, po których budził się z zakrwawionymi rękami, ani stanów zapalnych zadartych przy paznokciach skórek.

I miał Shepherda. Swoje błogosławieństwo i przekleństwo. Bywały takie chwile, gdy Dylan cieszył się, że żyje i że Shep jest jego bratem.

Pod czerwonym neonem „Motel”, gdzie przesuwający się cień Dylana malował zupełnie czarną plamę na różowawym od blasku neonu asfalcie, ktoś go śledził. A także potem, gdy mijał niskie sagowce, kolczaste kaktusy i inną roślinność pustynną, i dalej, kiedy szedł betonowymi chodnikami między budynkami motelu, i z całą pewnością, kiedy mijał szumiące i pobrzękujące automaty z napojami, rozmyślając o delikatnych więzach rodzinnych — wciąż ktoś go śledził. Obserwator zbliżył się niepostrzeżenie, jak gdyby zrównał swój krok z jego krokiem, swój oddech z jego oddechem. Dylan stał już przed drzwiami pokoju i szukał w kieszeniach klucza, ściskając przy tym kurczowo torebki z jedzeniem, kiedy usłyszał zdradzieckie skrzyknięcie buta, niestety za późno. Odwrócił

głowę, dojrzał nad sobą bladą w blasku księżyca twarz i wyczuł ruch jakiegoś ciemnego kształtu, który opadł mu prosto na czołko.

Dziwne, ale nie poczuł ciosu i nie zorientował się, że osuwa się na ziemię. Usłyszał trzask pękających torebek, owionął go zapach cebuli, ciepłego sera i marynowanych warzyw, a potem uświadomił sobie, że leży twarzą na betonie. Miał nadzieję, że nie rozlał koktajlu mlecznego dla Shepa. Później przyśniły mu się tańczące frytki.

## 2

Jillian Jackson miała ukochany kwiat — grubosza jajowatego — którym zawsze zajmowała się niezwykle troskliwie. Podawała mu starannie wyliczone i odmierzone porcje mieszanki odżywek, rozsądnie podlewała i regularnie spryskiwała jego mięsiste, owalne liście wielkości kciuka, aby zmyć kurz i zachować ich lśniąca zieleń.

Tego piątkowego wieczoru, kiedy jechali z Fredem z Albuquerque w Nowym Meksyku do Phoenix w Arizonie, gdzie w przyszłym tygodniu Jilly miała trzy występy, to ona całą drogę siedziała za kółkiem, ponieważ Fred nie miał ani prawa jazdy, ani niezbędnych do prowadzenia pojazdu kończyn. Fred był gruboszem jajowatym.

Granatowy cadillac coupe deville rocznik 1956 był miłością życia Jilly. Fred rozumiał to i łaskawie akceptował, lecz mały *Crassula argentea* (nazwisko Freda) na liście obiektów jej uczuć lokował się tuż za samochodem. Jilly kupiła grubosza, gdy był zaledwie pędem o czterech krótkich gałązkach i szesnastu grubych, gumowatych liściach. Choć trzymano go w tandetnej donicy średnicy trzech cali z czarnego plastiku i mógł sprawiać wrażenie drobnej, żalostnej roślinki, jej od pierwszej chwili wydał się odważny i z charakterem. Pod czułą opieką wyrósł na piękny okaz wysokości jednej stopy i średnicy osiemnastu cali. Teraz mieszkał sobie wygodnie w

dwunastocalowej donicy z terakoty; razem z ziemią i pojemnikiem ważył dwanaście funtów.

Jilly zrobiła mu twardą poduszkę z pianki z wystającym brzegiem — coś w rodzaju okrągłego siedziska dla pacjentów po operacji hemoroidów — dzięki której dno doniczki nie mogło uszkodzić tapicerki siedzenia, a Fred mógł podróżować, zachowując równowagę. W 1956 roku nie wyposażano cadillaców coupe deville w pasy bezpieczeństwa; Jilly także nie została w nie wyposażona w chwili narodzin, czyli w roku 1977; zamontowała za to w samochodzie zwykle pasy biodrowe dla siebie i Freda. Na swojej specjalnie zrobionej poduszce, z doniczką przypiętą do siedzenia, miał najlepsze zabezpieczenia, o jakich mógłby marzyć grubosz jajowaty, mknąc po wertepach Nowego Meksyku z prędkością przekraczającą osiemdziesiąt mil na godzinę.

Siedząc przy oknie, Fred nie mógł widzieć ani docenić pustynnego krajobrazu, lecz Jilly od czasu do czasu barwnie słowami odmalowywała mu szczególnie piękny widok.

Lubiła ćwiczyć swoje zdolności opisywania. Gdyby nie udało się jej zostać gwiazdą wśród komików po tych kilku kontraktach na występy w kiepskich barach i drugorzędnych klubach, przewidziała plan awaryjny — chciałyby zostać powieściopisarką, autorką bestsellerów.

Ludzie nie porzucają nadziei nawet w niebezpiecznych czasach, ale Jillian trzymała się jej kurczowo, żywiąc się nią tak jak jedzeniem. Trzy lata temu, gdy była kelnerką i mieszkała z trzema dziewczynami, żeby taniej wyszło, jadła tylko dwa posiłki dziennie, które dostawała gratis w restauracji, gdzie pracowała, jeszcze przed swoim pierwszym występem miała we krwi tyle nadziei, ile czerwonych i białych krwinek oraz trombocytów. Niektórzy lękaliby się równie śmiałych marzeń, ale Jilly wierzyła, że dzięki nadziei i ciężkiej pracy zdobędzie wszystko, czego zechce.

Wszystko, prócz właściwego mężczyzny.



Jadąc przez dogasające popołudnie z Los Lunas do Socorro, potem do Las Cruces, czekając w amerykańskim punkcie odpraw celnych na wschód od Akela, gdzie od niedawna kontrole przeprowadzano znacznie sumiennie niż w spokojniejszych czasach — Jilly całą drogę rozmyślała o mężczyznach w swoim życiu. Było ich tylko trzech, ale o trzech za dużo. Zmierzając do Lordsburga na północ od gór Pyramid, do miasta Road Forks w Nowym Meksyku i wreszcie przekraczając granicę stanu, rozpamiętywała przeszłość, starając się zrozumieć, gdzie popełniła błąd w każdym z nieudanych związków.

Mimo że była gotowa wziąć na siebie winę za burzliwy koniec każdego z romansów, poniewczasie analizując wszystko z uwagą pirotechnika stojącego przed decyzją, który z drucików ma przeciąć, żeby zapobiec katastrofie, doszła w końcu do wniosku (nie po raz pierwszy zresztą), że bardziej niż ona zawinili nieodpowiedzialni mężczyźni, którym zaufała. Zdradzili ją. Oszukali. Gdyby nawet spojrzeć na nich bez uprzedzeń, przez najbardziej różowe z różowych okularów, okazywali się łajdakami, trzema świnkami, które przejawiały wyłącznie świńskie cechy charakteru i ani jednej dobrej. Gdyby u ich drzwi stanął wilk i zdmuchnął słomianą chatkę, sąsiedzi zgotowaliby mu owację i poczęstowaliby winem, żeby miał czym popić kolację złożoną z kotletów wieprzowych.

— Jestem zgorzkniałą, mściwą suką — oświadczyła Jilly.

Kochany Fred milcząco zaprotestował.

— Czy kiedykolwiek spotkam porządnego faceta? — zastanawiała się głośno.

Chociaż Fred wykazywał liczne zalety — był cierpliwy i spokojny, nigdy się na nic nie skarżył, wyjątkowo umiał słuchać i milcząco współczuć oraz miał zdrowy korzeń — nigdy nie twierdził, że został obdarzony zdolnością jasnowidzenia. Nie mógł wiedzieć, czy pewnego dnia Jilly spotka porządnego faceta. Na ogół ufał przeznaczeniu.

Podobnie jak inne bezwolne gatunki pozbawione umiejętności poruszania się, mógł tylko polegać na losie i mieć nadzieję na pomyślny obrót spraw.

— Oczywiście, że spotkam porządnego faceta — oznajmiła zdecydowanie Jilly, gdy jak zwykle wstąpiła w nią otucha. — Spotkam kilkunastu porządnym facetów, kilkudziesięciu, setki. — Z melancholijnym westchnieniem wcisnęła hamulec, widząc tuż przed sobą sznur samochodów tłoczących się na wschodniej nitce autostrady międzystanowej numer 10. — Nie chodzi o to, czy spotkam porządnego faceta, ale czy go poznam, jeżeli nie będzie miał wokół siebie chóru aniołów, a nad głową migającej aureoli z napisem „Świetny facet, świetny facet, świetny facet”.

Jillian nie widziała uśmiechu Freda, ale wyraźnie go wyczuła.

— Och, spójrzmy prawdzie w oczy — wyjęczała. — W sprawach facetów jestem naiwna i łatwo daję się wprowadzić w błąd.

Fred potrafił odróżnić prawdę od kłamstwa. Mądry Fred. Cisza, jaką skwitował deklarację Jilly, miała zupełnie inną wymowę niż cichy protest, gdy nazwała się zgorzkniałą, mściwą suką.

Sznur samochodów utknął na amen.

Karmazynowy zachód słońca i zmierzch spędzili na kolejnym oczekiwaniu, tym razem przed posterunkiem Inspekcji Rolnej Arizony na wschód od San Simon, który służył obecnie i stanowym, i federalnym agencjom stróżów prawa. Poza urzędnikami Departamentu Rolnictwa w kontroli uczestniczyli także ubrani po cywilnemu agenci o kamiennych spojrzeniach, służący zapewne w jakiejś organizacji, która miała niewiele wspólnego z warzywami; najwyraźniej szukali szkodników znacznie niebezpieczniejszych od muszek owocowych hodowanych w przemycanym pomarańczach. Maglowali Jilly z takim uporem, jakby sądzili, że ukrywa pod

siedzeniem karabin półautomatyczny i czador, a Fredowi przyglądali się z uwagą i nieufnością, jak gdyby w przekonaniu, że pochodzi z Bliskiego Wschodu, jest fanatykiem religijnym i ma złe intencje.

Jednak nawet ci groźnie wyglądający mężczyźni, którzy mieli swoje powody, by patrzeć podejrzliwie na każdego podróżnego, nie mogli zbyt długo uważać Freda za złoczyńcę. Cofnęli się i przepuścili cadillaca przez punkt kontroli.

Zamykając elektrycznie opuszczaną szybę i wciskając pedał gazu, Jilly powiedziała:

— Dobrze, że nie wsadzili cię do pudła, Freddy. Przy naszym budzecie nie moglibyśmy sobie pozwolić na kaucję.

Przez milę jechali w milczeniu.

Jeszcze przed zachodem słońca pokazał się widmowy księżyc jak blade oko ektoplazmy; wraz z zapadnięciem zmroku jego cyklopowe spojrzenie stało się jaśniejsze.

— Być może rozmowa z rośliną to nie tylko dziwactwo — rozmyślała na głos Jilly. — Być może mam trochę nierówno pod sufitem.

Na północ i południe od autostrady panowała nieprzenikniona ciemność. Chłodny blask księżycowy nie mógł rozjaśnić mroku, jaki po zmierzchu zapadł na pustyni.

— Przepraszam, Fred. Nie powinnam tego mówić.

Grubosz był dumny, ale umiał też przebaczać. Spośród trzech mężczyzn, z którymi Jilly zgłębiała tajniki dysfunkcji związku, żaden nie zawahałby się wykorzystać przeciwko niej najbardziej niewinnej oznaki niezadowolenia z jej strony; każdy postarałby się wzbudzić w niej poczucie winy i wszedł w rolę zgnębianej ofiary jej wygórowanych oczekiwań. Fred, dzięki Bogu, nigdy nie bawił się w podobne gierki.

Przez jakiś czas jechali w przyjaznej ciszy, oszczędzając mnóstwo paliwa, gdy znaleźli się w silnym strumieniu powietrza za pędzącym peterbiltem, który, jak wynikało z napisu na tylnych drzwiach, wiozł przysmaki lodowe

wyglądiałym miłośnikom przekąsek na zachód od Nowego Meksyku.

Kiedy zbliżyli się do miasta rozjarzonego neonami moteli i stacji obsługi, Jilly zjechała z drogi międzystanowej. Zatankowała na samoobsługowej stacji przy Union 76.

Przy tej samej ulicy był bar z hamburgerami, gdzie kupiła kolację. Za ladą stała starsza pani, czerstwa i tryskająca radością jak ideał babci z filmów Disneya z lat sześćdziesiątych, która upierała się, by przypiąć do bluzki Jilly znaczek z uśmiechniętą żabą.

Restauracja sprawiała wrażenie tak czystej, że można by tu przeprowadzić operację wszczepienia poczwórnych by-passów, w razie gdyby któryś z klientów doznał blokady tętnic, konsumując kolejnego podwójnego cheeseburgera. Sama czystość jednak nie wystarczyła, by skłonić Jilly do spożycia posiłku przy jednym z pokrytych laminatem stolików, w intensywnym świetle, które mogłoby spowodować mutacje genetyczne.

Siedząc w zaparkowanym cadillacu coupe deville i jedząc kanapkę z kurczakiem i frytki, Jilly słuchała wraz z Fredem swojego ulubionego radiowego talk-show, który poruszał takie tematy, jak kontakty z UFO, wizyty niebezpiecznych istot pozaziemskich dyszących pragnieniem płodzenia dzieci z Ziemiankami, pojawienie się leśnego stwora znanego jako Wielka Stopa (a także jego niedawno widzianego potomka, Małej Wielkiej Stopy) oraz przybyszy z odległej przyszłości, którzy zbudowali piramidy w bliżej nieznanym celu. Tego wieczoru prowadzący program Parish Lantern, obdarzony charakterystycznym zachrypniętym głosem, dyskutował z gośćmi o poważnym zagrożeniu, jakie stanowiły pijawki mózgowo, które rzekomo przybyły do naszego świata z rzeczywistości alternatywnej.

Na szczęście żaden z dzwoniących do programu słuchaczy ani słowem nie wspominał o radykalnych faszystowskich

fundamentalistach muzułmańskich, zdecydowanych zniszczyć cywilizację, by przejąć władzę nad światem. Podobno po zagnieżdzeniu się w płacie potylicznym pijawka mózgowa przejmowała kontrolę nad człowiekiem, biorąc w niewolę jego umysł i ciało; stworzenia te były zapewne oślizgłe i obrzydliwe, lecz Jilly słuchała programu Parisha z ulgą. Gdyby nawet pijawki mózgowe naprawdę istniały, w co ani przez chwilę nie wierzyła, potrafiła je zrozumieć: rozumiała ich pasożytniczą naturę i genetyczny imperatyw, który kazał im opanowywać inne gatunki. Natomiast zło ludzkie rzadko, jeśli w ogóle, miało podstawy racjonalne.

Fred nie miał mózgu, który mógłby służyć pijawce za terytorium ekspansji, więc mógł słuchać programu, nie obawiając się o własne bezpieczeństwo.

Jilly spodziewała się, że kolacja ją pokrzepi, ale gdy skończyła jeść, czuła się tak samo zmęczona jak po zjeździe z drogi międzystanowej. Miała nadzieję, że łatwo zniesie następne cztery godziny jazdy przez pustynię do Phoenix, słuchając przez część drogi kojących fantazji Parisha Lanterna. Jednak w takim stanie mogła stanowić zagrożenie na autostradzie.

Przez szybę ujrzała motel po przeciwnej stronie drogi.

— Jeżeli nie pozwalają tam brać ze sobą zwierząt domowych — powiedziała do Freda — jakoś cię przemycę.

# 3

Dla osoby dotkniętej nieznacznym uszkodzeniem mózgu, w wyniku którego cierpi na krótkotrwałe i niekontrolowane napady obsesji, najlepszą rozrywką jest szybkie układanie łamigłówek.

Fatalny stan umysłu Shepherda zwykle dawał mu zdumiewający atut, ilekroć skupiał całą uwagę na układance obrazkowej. W tej chwili rekonstruował skomplikowany obrazek bogatej w ornamenty świątyni sinto otoczonej drzewami wiśniowymi.

Mimo że zaraz po przyjeździe do motelu zaczął układać zestaw składający się z dwóch i pół tysiąca elementów, zdążył już ułożyć mniej więcej jedną trzecią. Po wyznaczeniu czterech brzegów obrazka Shep metodycznie kierował się ku środkowi.

Chłopiec — Dylan wciąż uważał swojego brata za chłopca, chociaż Shep miał już dwadzieścia lat — siedział przy biurku oświetlonym cylindryczną mosiężną lampą. Lewą rękę trzymał na wprost uniesioną i bez przerwy machał dłonią, jak gdyby pozdrawiał swoje odbicie w lustrze wiszącym nad biurkiem; w istocie jednak patrzył tylko na układany obrazek i pozostałe kawałki w otwartym pudełku. Najprawdopodobniej w ogóle nie zdawał sobie sprawy, że macha ręką, i na pewno nie mógł nad tym panować.

Tiki, napadowe kołysanie i inne dziwaczne, monotonne

ruchy stanowiły objawy choroby Shepa. Czasami potrafił trwać bez ruchu jak statua z brązu albo marmuru, zapominając nawet mrugać oczami, ale najczęściej całymi godzinami przebierał palcami albo kręcił nimi młynka, albo podrygiwał nogami czy przytupywał.

Natomiast Dylan był przywiązany do krzesła i nie mógł niczym machać ani kołysać, ani kręcić młynka. Kostki nóg krępowaly mu grube zwoje calowej taśmy izolacyjnej, którą okręcono wokół nóg krzesła; nadgarstki i przedramiona przywiązano mu taśmą do oparc. Prawą rękę miał zwróconą wewnętrzną stroną dłoni do dołu, a lewą odwrotnie — ku górze.

W usta wepchnięto mu jakąś szmatę, kiedy był nieprzytomny. Wargi też miał zaklejone taśmą.

Dylan był przytomny od dwóch czy trzech minut, ale nie udało mu się połączyć żadnego z elementów strasznej układanki, przed którą go postawiono. Nie miał pojęcia, kto go napadł ani dlaczego.

Dwukrotnie próbował odwrócić się na krześle, by spojrzeć w stronę łóżek i łazienki, które miał za sobą, lecz nieznanymi wróg wymierzył mu dwa ciosy w głowę, powstrzymując jego ciekawość. Uderzenia nie były silne, ale wymierzone we wrażliwe miejsce, gdzie wcześniej został trafiony o wiele mocniej, toteż znowu omal nie zemdlął.

Gdyby Dylan zaczął wzywać pomocy, jego zduszony krzyk nie wydostałby się poza pokój, ale usłyszałby go Shep siedzący w odległości mniejszej niż dziesięć stóp. Niestety, brat nie zareagowałby ani na przeraźliwe wołanie, ani na szept. Nawet w swoje najlepsze dni rzadko reagował na Dylana czy kogokolwiek innego, a gdy jego uwagę pochłaniała układanka, świat wydawał mu się mniej rzeczywisty niż dwuwymiarowa scena na pokawałkowanym obrazku.

Prawą ręką — tą spokojną — Shep wybrał tekturowy element w kształcie ameby, spojrzął na niego i odłożył na bok. Po chwili chwycił ze stosu inny fragment i momentalnie

umieścił we właściwym miejscu, potem drugi i trzeci — wszystko w ciągu pół minuty. Wydawało się, jakby sądził, że poza nim w pokoju nie ma nikogo.

Dylan czuł, jak serce tłucze mu o żebra, jak gdyby testując wytrzymałość konstrukcji klatki piersiowej. Przy każdym uderzeniu w obolałej czaszce pulsował ból w okropnym synkopowanym rytmie, a knebel w ustach drgał jak żywe stworzenie, co chwila wzbudzając odruch wymiotny.

Dylan bał się, choć tacy duzi chłopcy nie powinni się aż tak bać, nie wstydził się strachu i czuł się dobrze w roli dużego przerażonego chłopca; był pewien jednego: dwadzieścia dziewięć lat to za wcześnie na śmierć. Gdyby miał dziewięćdziesiąt dziewięć lat, twierdziłby zapewne, że wiek średni zaczyna się dopiero po setce.

Śmierć nigdy go specjalnie nie kusiła. Nie rozumiał fanatyków subkultury gotyckiej i ich niezmiennego sentymentu do ożywionych zmarłych; wampiry jakoś go nie pociągały. Nie porywał go też do tańca gangsta-rap ze swą gloryfikacją morderstwa i celebrowaniem okrucieństwa wobec kobiet. Nie lubił filmów, których głównym tematem były wypruwanie flaków i odcinanie głów; w najlepszym razie nie dało się przy nich jeść popcornu. Dylan przypuszczał, że zawsze pozostanie w tyle za modą. Było mu przeznaczone pozostać staroświeckim jak *biedermeier*. Jednak perspektywa wiecznej staroświecczyny wydawała mu się o wiele bardziej zachęcająca niż perspektywa rychłej śmierci.

Mimo przerażenia w sercu wciąż tliła mu się nadzieja. Przede wszystkim, gdyby nieznany napastnik zamierzał go zabić, ciało Dylana z pewnością osiągnęłoby już temperaturę pokojową. Siedział skrupowany i zakneblowany, ponieważ przestępca miał wobec niego inne plany.

Na myśl przychodziły tortury. Dylan nigdy nie słyszał, by kogoś zamęczono na śmierć w którymś z moteli należącym do krajowej sieci, przynajmniej nie zdarzało się to regularnie.



Psychopatyczni zabójcy raczej czuliby się niezręcznie, uprawiając swój proceder w miejscu, w którym w tym samym czasie mogło odbywać się zebranie klubu rotarian. W ciągu lat spędzonych w podróży Dylan narzekał tylko na kieszko utrzymane pokoje, pomyłkowe poranne telefony z niezamówionym budzeniem i marne jedzenie w restauracji. Ale gdy już pomyślał o torturach, nie umiał znaleźć sposobu, jak o nich zapomnieć.

Pocieszał się również myślą, że panujący nad sytuacją napastnik oszczędził Shepherda, którego nie uderzył ani nie skrępował. Świadczyło to, że złoczyńca, kimkolwiek był, dostrzegł obojętność Shepa wobec świata i zorientował się, że upośledzony chłopiec nie stanowi zagrożenia.

Prawdziwy socjopata pozbyłby się jednak Shepherda albo dla zabawy, albo żeby poprawić swój wizerunek zabójcy. Obląkani mordercy prawdopodobnie żywili przekonanie, jak większość współczesnych Amerykanów, że potwierdzenie poczucia własnej wartości jest niezbędnym warunkiem zdrowia psychicznego.

Kładąc kolejny bezkształtny kawałek tektury na swoim miejscu, przyciskając go kciukiem prawej dłoni i kwitując rytualnym skinieniem głowy, Shepherd pracował nad układanką w zawrotnym tempie, z prędkością sześciu, siedmiu elementów na minutę.

Dylan zaczął widzieć wyraźniej, a odruchy wymiotne ustały. Zazwyczaj takie objawy przyjmowało się z radością, ale Dylan nie odczuje żadnej radości, dopóki się nie dowie, kto go zaatakował i w jakim celu.

Łomot serca jak huk kotłów i szum krwi w uszach przypominający nieco dźwięk delikatnie muskanych czyneli skutecznie zagłuszały wszelkie odgłosy, jakie mógł wydawać intruz. Być może jadł ich kolację kupioną w barze — albo przygotowywał do odpalenia piłę łańcuchową.

Dylan siedział pod pewnym kątem w stosunku do lustra

wiszącego nad biurkiem, widział więc tylko odbicie niewielkiego fragmentu pokoju za sobą. Obserwując brata oddanego bez reszty układance, dostrzegł z brzegu lustra jakiś ruch, lecz zanim zdążył skupić na nim wzrok, widmo zniknęło z pola widzenia.

Kiedy napastnik w końcu ukazał się Dylanowi, wyglądał nie groźniej niż pięćdziesięciokilkuletni dyrektor chóru, któremu największą radość sprawia słuchanie świetnie zestrojonych głosów wyśpiewujących radosne hymny. Opadające ramiona. Wydatny brzuch. Przerzedzone siwe włosy. Małe, delikatnie wyrzeźbione uszy. Dobroduszna, różowa twarz o nieco obwisłych policzkach przypominała bochen chleba. Jasnoniebieskie oczy były załzawione, jak gdyby ze współczucia, i zdawała się w nich odbijać dusza zbyt pocziwa, by mogła zrodzić jakąkolwiek wrogą myśl.

Wyglądał jak antyteza łotrostwa, ale mimo że łagodnie się uśmiechał, trzymał w rękach dość długą gumową rurkę. Przypominającą węża. Długości dwóch, może trzech stóp. Żadnego nieożywionego przedmiotu — łyżki czy naostrzonego jak brzytwa sprężynowca — nie można nazwać złym; lecz o ile nożem sprężynowym można po prostu obrać jabłko, o tyle trudno było w tej chwili grozy wyobrazić sobie równie niewinne przeznaczenie gumowej rurki o przekroju pół cala.

Bujna wyobraźnia artysty podsuwała Dylanowi absurdalne, ale bardzo plastyczne obrazy przymusowego karmienia przez nos oraz badania okrężnicy przez zupełnie inny otwór ciała.

Lęk nie opuścił Dylana, kiedy zorientował się, że rurka jest opaską uciskową. Zrozumiał za to, dlaczego ma lewą dłoń zwróconą wewnętrzną stroną ku górze.

Gdy zaprotestował przez przesiąknięty śliną knebel i taśmę izolacyjną, zdołał wydobyć z siebie głos, jaki mógłby wydać człowiek pogrzebany żywcem, wzywający pomocy przez wieko trumny i sześć stóp ubitej ziemi.

— Spokojnie, synu, spokojnie. — Intruz nie mówił twardym

głosem opryska, ale cichym i współczującym, jak wiejski lekarz, który ze wszystkich sił pragnie ulżyć pacjentowi w cierpieniu. — Nic ci nie będzie.

Ubrany też był jak wiejski lekarz, prawdziwy relikwiarz ubiegłego wieku wzięty prosto z ilustracji Normana Rockwella na pierwszej stronie „Saturday Evening Post”. Wypolerowane do połysku skórzane buty lśniły jak lustro, beżowe spodnie w kant podtrzymywały szelki. Był bez płaszcza, miał podwinęte rękawy koszuli, rozpięty kołnierzyk oraz poluzowany krawat i brakowało mu tylko stetoskopu, by wyglądać zupełnie jak lekarz z wioski, odrobinę wymięty po wielu domowych wizytach, o którym wszyscy mieszkańcy mówią życzliwie „Doktor”.

Dylan miał na sobie koszulę z krótkimi rękawami, mężczyzna więc bez problemu założył mu opaskę uciskową. Szybko zawiązał gumową rurkę na bicepsie i na przedramieniu Dylana ukazała się mocno nabrzmiała żyła.

Lekko opukując uwydatnione naczynie, Doktor mruknął:

— Ślicznie, ślicznie.

Mając w ustach knebel i będąc zmuszonym do oddychania przez nos, Dylan wyraźnie słyszał dowód swego narastającego strachu — coraz szybszy rytm rżących wdechów i wydechów.

Lekarz przemył skórę wacikiem nasączonym alkoholem.

Wszystkie elementy składające się na tę chwilę — Shep machający do nikogo i błyskawicznie rozprawiający się z układanką, uśmiechnięty intruz przygotowujący pacjenta do zastrzyku, paskudny smak knebla, ostra woń alkoholu i bolesny ucisk taśmy izolacyjnej — całkowicie absorbowwały pięć zmysłów, nie sposób więc było brać pod uwagę możliwości, że to tylko sen. Mimo to kilka razy Dylan zamykał oczy i szczypał się w duchu... po czym spoglądał na pokój i dysząc z jeszcze większym przerażeniem, stwierdzał, że ten koszmar dzieje się naprawdę.

Strzykawka do iniekcji podskórnych na pewno nie mogła

być tak ogromna jak ta. Instrument, jaki trzymał Doktor, nadawał się bardziej dla słoni czy nosorożców niż dla ludzi. Dylan przypuszczał, że rozmiary strzykawki wyolbrzymił jeszcze strach.

Trzymając kciuk prawej dłoni na tłoku, zaciskając zgięte palce na kołnierzu, Doktor wyciskał ze strzykawki powietrze, dopóki z igły nie trysnęła łukiem odrobina złocistego płynu i mieniając się w blasku lampy, opadła na dywan.

Wydając zduszony krzyk protestu, Dylan szarpnęła więzy, aż krzesło zakotłosało się na boki.

— Tak czy inaczej — rzekł przyjaźnie lekarz — jestem zdecydowany ci to zaaplikować.

Dylan niezłomnie potrząsnął głową.

— Synu, od tej szprycy nie umrzesz, ale jak się będziesz szamotać, coś ci się może stać.

SZPRYCY. Buntował się przeciw perspektywie wstrzyknięcia leku, narkotyku — albo toksycznej substancji chemicznej, trucizny czy osocza krwi zakażonego paskudną chorobą — a teraz jeszcze energiczniej protestował przeciw temu, by do jego żyły trafiła jakaś nieokreślona szpryca. Tak nonszalanckie słowo sugerowało niestaranność, łajdactwo naznaczone niedbalstwem, jak gdyby ten okaz banalności zła o obwisłych policzkach, okrągłych ramionach i wystającym brzuchu, mimo że zadał sobie tyle trudu, nie miał nawet ochoty zapamiętać nazwy substancji, którą zamierzał podać ofierze. Szpryca! Słowo mogło też oznaczać, że złota ciecz w strzykawce to coś bardziej egzotycznego niż zwykły lek, trucizna czy zainfekowane osocze, coś tajemniczego i jedyne w swoim rodzaju, co trudno nazwać. Jeżeli wiesz tylko tyle, że uśmiechnięty, stuknięty lekarz o różowej twarzy uraczył cię sporą szprycą, to żaden z troskliwych i zupełnie normalnych lekarzy w szpitalnej izbie przyjęć nie będzie miał pojęcia, jakie podać antidotum ani jaki przepisać antybiotyk, ponieważ ich apteka nie będzie dysponowała żadnym specyfikiem na

ciężki przypadek szprycy.

Obserwując Dylana szarpiącego się bezskutecznie w pętach, stuknięty dealer szpryc pokręcił z dezaprobatą głową.

— Jak się będziesz szamotał, mogę uszkodzić żyłę... albo przypadkowo wstrzyknąć ci bańkę powietrza i zrobi się zator. A zator cię zabije albo w najlepszym razie robi z ciebie roślinę. — Wskazał siedzącego przy biurku Shepa. — Gorszą od niego.

Bywały tak złe dni, że pod ich koniec Dylan czuł takie znużenie i rozczarowanie, iż niekiedy zazdrościł bratu niewiedzy na temat trosk tego świata; Shep nie miał jednak żadnych obowiązków, a Dylan mnóstwo — sam Shep był jednym z ważniejszych — więc stan nieświadomości, z wyboru czy w wyniku zatoru, absolutnie nie wchodził w grę.

Dylan przestał się opierać, skupiając spojrzenie na błyszczącej igle. Na twarz wystąpił mu kwaśny pot. Ciężko wypuszczając i gwałtownie wciągając powietrze, parskał jak zdyszany koń. Znow zaczął pulsować ból w czaszce, zwłaszcza w miejscu uderzenia, a także przez całą szerokość czoła. Opór był męczący, bezcelowy i po prostu głupi. Skoro nie mógł uniknąć zastrzyku, lepiej będzie zaufać złemu szamanowi, który twierdził, że substancja w strzykawce nie jest śmiertcionośna, znieść to, co musiało nastąpić, zachować czujność, by w odpowiedniej chwili wykorzystać nadarżającą się okazję (o ile rzeczywiście zachowa przytomność), i dopiero później szukać pomocy.

— Tak lepiej, synu. Najrozsądniej mieć to jak najszybciej za sobą. Zaboli mniej niż przy szczepieniu przeciw grypie. Możesz mi zaufać.

*Możesz mi zaufać.*

Zabrnęli tak daleko w surrealizm, że Dylan niemal spodziewał się zobaczyć, jak meble w pokoju miękną, przybierając kształty niczym z obrazów Salvadora Dalego.

Nieznamy, z tym samym sennym uśmiechem, fachowym

ruchem wbił igłę w żyłę, rozluźniając równocześnie węzeł na gumowej rurce i dotrzymując obietnicy, że zastrzyk będzie bezbolesny.

Naciskający tłok czubek kciuka poczerwieniał.

Formułując najbardziej nieprawdopodobne zdanie, jakie Dylan słyszał, Doktor powiedział:

— Wstrzykuję ci dzieło mojego życia.

Ciemna końcówka tłoka w przezroczystym cylindrze strzykawki drgnęła i wolno zaczęła się przesuwac, wtłaczając złocisty płyn do igły.

— Pewnie się zastanawiasz, co ta szpryca z tobą zrobi.

Przestań nazywać to SZPRYCA! — zażądałby Dylan, gdyby jego ust nie zapychał kawał szmaty niewiadomego pochodzenia.

— Właściwie nie sposób dokładnie określić skutków.

Chociaż igła być może była normalnej wielkości, to spoglądając na rozmiary strzykawki, Dylan zorientował się, że wyobraźnia wcale nie spletała mu figla. Strzykawka była ogromna. Przerażająco olbrzymia. Czarne cyferki skali na plastikowej rurce wskazywały pojemność osiemnastu centymetrów sześciennych, co było dawką przepisywaną zapewne przez weterynarza pacjentom z zoo, którzy wazyli co najmniej sześćset funtów.

— Ma działanie psychotropowe.

Słowo zabrzmiało groźnie i egzotycznie, lecz Dylan podejrzewał, że jeśli zdoła zebrać myśli, zrozumie, co to znaczy. Bolały go jednak rozciągnięte szczęki, spod mokrej szmaty w ustach wyciekł kwaśny strumień śliny, grożąc mu zakrztuszeniem, piekły go zaklejone taśmą wargi, a gdy obserwował tajemniczą ciecz sączącą się do jego ręki, ogarnął go jeszcze większy strach. Denerwowało go uporczywe machanie Shepa, mimo że dostrzegał brata tylko kątem oka. W takich warunkach trudno było zebrać myśli. Słowo „psychotropowy” tłukło mu się w głowie jak gładka i lśniąca stalowa kula, odbijająca się od zderzaków i metalowych szyn

w błyskającym światłami bilardzie elektrycznym.

— Na każdego działa inaczej. — W głosie Doktora dały się słyszeć nutki niesfornej ciekawości naukowca, nieprzyjemne jak okruchy szkła w szklance miodu. Chociaż nieznamy wyglądem przypominał trochę troskliwego lekarza wiejskiego, wobec pacjenta zachowywał się jak Victor von Frankenstein. — Efekt jest zawsze interesujący, często zaskakujący, czasem nawet pozytywny.

Interesujący, zaskakujący, czasem nawet pozytywny: chyba nie było to dzieło życia porównywalne z dokonaniem Jonasa Salka. Doktorowi bliżej było raczej do tradycji obłąkanych, megalomańskich nazistowskich naukowców.

Ostatni centymetr sześcienny płynu zniknął ze zbiornika strzykawki i przez igłę trafił do ciała Dylana.

Spodziewał się, że poczuje pieczenie w żyłę, okropne chemiczne ciepło rozprzestrzeniające się błyskawicznie po układzie krążenia, ale nic takiego się nie stało. Nie wstrząsnął też nim żaden lodowaty dreszcz. Spodziewał się, że dozna sugestywnych halucynacji, że oszaleje, czując, jak na miękkiej powierzchni mózgu roją się pająki, że usłyszy w głowie głosy duchów, dostanie napadu drgawek albo gwałtownych skurczów mięśni, albo nie wytrzyma mu zwieracz, opanują go mdłości czy zawroty głowy, zaczną mu rosnać włosy na dłoniach, pokój zawiruje mu przed oczami — ale zastrzyk nie dał żadnych widocznych efektów, poza być może skokiem temperatury jego rozgorączkowanej wyobraźni.

Doktor wyjął igłę.

W miejscu ukłucia wykwitła jedna maleńka drobinka krwi.

— Jeden z dwóch powinien wystarczyć, żeby spłacić dług — mruknął Doktor, nie do Dylana, ale do siebie, wygłaszając uwagę, która zdawała się nie mieć sensu. Potem cofnął się, znikając Dylanowi z oczu.

Karmazynowa kropelka drżała w zgięciu łokcia Dylana, jak gdyby pulsując współczująco wraz z rytmem łomoczącego

serca, które kiedyś tłoczyło ją do najdalszego naczynia włosowatego i od którego została na zawsze oddzielona. Dylan żałował, że nie może wchłonąć jej z powrotem, wciągnąć przez nakłucie w skórze, ponieważ obawiał się, że w mającej nastąpić ciężkiej walce o życie będzie potrzebował każdej kropli zdrowej krwi, jeśli w ogóle ma szansę pokonać zagrożenie, które zostało mu wstrzyknięte.

— Ale spleta długu to nie perfumy — rzekł Doktor, pojawiając się znowu i trzymając plaster, z którego zdzierał opakowanie. — Nie zlikwiduje smrodu zdrady, prawda? Zresztą czy coś go może zlikwidować?

Choć znów zwracał się do Dylana, wydawało się, że mówi zagadkami. Poważne słowa wymagały powagi, a w jego głosie wciąż pobrzmiwał lekki ton i na twarzy igrał żartobliwy, lunatyczny uśmiech, to pojawiając się, to blednąc, jak blask skaczącego płomyka świecy w kapryśnym wietrzyku.

— Wyrzuty sumienia gryzą mnie od tak dawna, że wyżyły mi serce. Czuję się pusty.

Funkcjonując nadzwyczaj dobrze jak na osobnika bez serca, pusty człowiek oderwał paski ochronne plastra i nakleił opatrunek na miejsce ukłucia.

— Chcę czuć skruchę za to, co zrobiłem. Bez skruchy nie ma mowy o prawdziwym spokoju. Rozumiesz?

Choć Dylan nie rozumiał ani słowa z tego, co mówił szaleniec, skinął głową, obawiając się, że brak zgody może wywołać napad szału, w którym zamiast igłą może zostać zaatakowany toporem.

Doktor wciąż mówił cicho, ale wszystkie żartobliwe nutki zniknęły, ustępując miejsca cierpieniu, mimo że osobliwy uśmiech pozostał.

— Chcę czuć skruchę, odrzucić tę straszną rzecz, którą zrobiłem, i chcę móc szczerze powiedzieć, że nie zrobiłbym tego drugi raz, gdybym miał przeżyć od nowa całe życie. Ale wyrzuty sumienia to wszystko, na co mnie stać. Gdybym



dostał drugą szansę, zrobiłbym to jeszcze raz i przeżył następne piętnaście lat przygnieciony brzemieniem winy.

Kropelka krwi przesiąkła przez gazę, robiąc ciemną plamę widoczną przez perforowaną warstwę plastra. Był to opatrunek dla dzieci ozdobiony rysunkiem psa, który brykał i szczyrzył zęby w uśmiechu, ale widok obrazka nie pocieszył Dylana ani nie odwrócił jego uwagi od kuku.

— Duma nie pozwala mi na skruczę. W tym cały kłopot. Och, dobrze znam swoje wady, ale to nie znaczy, że mogę się ich pozbyć. Na to już za późno. Za późno.

Wrzucił opakowanie po plastrze do małego kosza stojącego obok biurka, po czym sięgnął do kieszeni i wydobyl nóż.

Choć w innej sytuacji Dylan nie użyłby słowa „broń” w stosunku do zwykłego scyzoryka, w tym momencie żadne mniej groźne słowo nie byłoby na miejscu. Żeby poderznąć gardło i przeciąć tętnicę szyjną, nie trzeba mieć wcale sztyletu ani maczety. Wystarczy scyzoryk.

Doktor zmienił temat, porzucając wynurzenia o dawnych grzechach i skupiając się na pilniejszych sprawach.

— Chcą mnie zabić i zniszczyć moje dzieło.

Paznokciem kciuka wyciągnął krótkie ostrze scyzoryka.

W końcu uśmiech utonął w jego przepastnej ziemistej twarzy, a na powierzchnię wychynał wyraz troski.

— Już teraz otaczają mnie coraz ciasniejszym pierścieniem.

Dylan miał nadzieję, że ciasnemu pierścieniowi będzie towarzyszyć porządna dawka torazyny, kaftan bezpieczeństwa i doświadczeni ludzie w białych fartuchach.

Światło lampy odbijało się od stalowego ostrza scyzoryka.

— Dla mnie już nie ma ratunku, ale za nic nie pozwolę, żeby zniszczyli dzieło mojego życia. Kradzież to inna sprawa. Z tym mógłbym się pogodzić. Przecież sam to zrobiłem. Ale oni chcą wymazać wszystko, co osiągnąłem. Jak gdybym nigdy nie istniał.

Krzywiąc się, Doktor zacisnął palce na rękojeści scyzoryka

i wbił ostrze w oparcie krzesła, kilka milimetrów od lewej ręki swojego jeńca.

Ten ruch nie wywarł korzystnego wpływu na Dylana, który podskoczył ze strachu tak gwałtownie, że poderwały się trzy nogi krzesła, a przez ułamek sekundy być może nawet lewitował.

— Zjawią się tu za pół godziny, może wcześniej — ostrzegł Doktor. — Będę próbował ucieczki, ale nie ma sensu się oszukiwać. Dranie pewnie mnie dopadną. I kiedy znajdą choć jedną pustą strzykawkę, zablokują całe miasto i zbadają wszystkich, jednego po drugim, dopóki się nie dowiedzą, kto dostał szprycę. Czyli dopóki nie znajdą ciebie. Bo szprycę masz ty.

Pochylił się, zbliżając twarz do twarzy Dylana. Jego oddech pachniał piwem i fistaszkami.

— Lepiej weź sobie do serca to, co mówię, synu. Jeśli zostaniesz w strefie kwarantanny, znajdą cię na pewno, a kiedy już cię znajdą — zabiją. Taki sprytny gość jak ty powinien wykombinować, jak użyć tego scyzoryka i uwolnić się w dziesięć minut, dzięki czemu będziesz miał szansę się uratować, a ja zdołam uciec, zanim mnie dogonisz.

Doktor miał między zębami czerwone skórki i resztki białego mięszu orzeszków, ale o wiele trudniej niż ślady po ostatniej przekąsce można było znaleźć oznaki jego szaleństwa. Jego oczy barwy spranego dżinsu wyrażały wyłącznie bezbrzeżny smutek.

Wyprostował się, spojrzął na scyzoryk wbity w oparcie krzesła i westchnął.

— To naprawdę nie są źli ludzie. Na ich miejscu też bym cię zabił. W całej tej sprawie jest tylko jeden zły człowiek, i to ja nim jestem. Nie mam złudzeń co do siebie.

Odsunął się od krzesła, znikając z pola widzenia Dylana. Sądząc po odgłosach, Doktor pakował swój sprzęt szalonego naukowca, wkładał marynarkę i szykował się, by dać nogę.